

Wykrzyczane *sottovoce*

Beznamiętny głos dyżurnego zagłuszył nagle szyderczy pisk iskrzących szyn – bolesne *fortissimo*¹ poprzedniej epoki, jak wyznanie pogardy dla marznących na peronie podróżnych, rzucone pod wiatr przez ostatni tego wieczoru pociąg linii regularnych państwowych, łączących miasto możliwości z miścinami i wsiami aglomeracji, broniącymi się zaciekle od kilku już lat przed pożarciem przez rosnącego z dnia na dzień kolosa. Naraz z piskiem hamowania, jakby w zgranym akompaniamencie, włączyła się nagle *unisono*² nieśmiała nuta terkoczących walizek i rozbryzgiwanych na chodniku marcowych resztek śniegu – jedynej darmowej pamiątki dla pasażerów, słonego *souveniru* z wizyty w mieście cudów. Im boleśniej pisk ranił bębni, tym silniejsza stawała się chodnikowa aria błota i bagaży, a właściwie nasilała się tylko codzienna ludzka panika, kiedy szuka się wzrokiem najkorzystniejszego miejsca na peronie, tak, by drzwi wagonu znalazły się tuż przy twarzy, bo nic tak nie cieszy, jak korzystne miejsce i szlachecka możność powiedzenia, albo chociaż pomyślenia „trzeba było wchodzić szybciej” na widok mężczyzny w kwiecie wieku, szukającego desperacko ostatniego wolnego fotela lub przynajmniej stopnia (co się tyczy *bien sûr*³ wyłącznie licznych, acz nadzwyczaj chętnie uczęszczanych wagonów piętrowych; przywilej klasy średniej, pracującej – miejsca siedzące na stopniach i „półpiętrach”, tuż obok drzwi do jedynej w pociągu komórki sanitarnej). Rosło więc napięcie i nieznośnie dłużyły się ostatnie sekundy oczekiwania, gdy samotny przygarbiony pociąg, żółtawy w miejscach, gdzie resztkami sił bronił się jeszcze przed rdzą, wjeżdżał na tor drugi i zupełnie bezcelowe wydawały się w tym wszystkim zachrypnięte nawoływania dyżurnego, bo nikt już nie miał wątpliwości, że stoi na właściwym peronie.

Nic nie mówiąc, nie oglądając się za siebie, ze zmęczonym spojrzeniem wlepionym w brudną tabliczkę przy drzwiach drugiego wagonu, smukła kobieta prowadziła do pociągu chłopca, bladego ośmio-, a może dziewięciolatka. Idealnie skrojony płaszcz i filcowy kapelusz w dynamicznym odcieniu pruskiego błękitu, kontrastowały z pochyłą sylwetką oraz bezładnie rozwianymi włosami; oczywistym było, że jej fryzura jeszcze rankiem wyglądała perfekcyjnie. Nowoczesna „światowa” elegancja mieszała się ze wspomnieniem długiego dnia i gęstą mgłą chłodnego wieczoru. A przesyczone gracją *staccato* wąskich obcasów zagłuszał jednostajny szmer ciągniętych o ciężale po płycie peronu, małych dziecięcych traperów.

1 (wł.) bardzo głośno

2 (wł.) zgodnie

3 (fr.) oczywiście

Matka ścisnęła chłopca za rozluźniony zupełnie nadgarstek, nie licząc już widocznie na jakikolwiek przejaw współpracy z jego strony. Kolorowa szelka plecaka zsunęła się, sięgając jego prawego łokcia; zewnętrzny obserwator o nieznacznie nawet pedantycznej naturze nie zniósłby tego widoku, ale najwyraźniej dziecko nie czuło dyskomfortu z powodu podwiniętego aż do połowy przedramienia rękawa kurtki, odkrywającego kościsty nadgarstek i bladą skórę, której nawet przenikliwy chłód nie był w stanie wyraźnie zaczerwienić. Podniosłam wzrok, gdy mały prawie potknął się o moje nogi, przechodząc tuż obok. Wlepiając w niego spojrzenie, poczułam się jak intruz w ruinach jego dziecinnej beztroski; po wewnętrznej stronie, między nadgarstkiem, a opaską z bandaży, jego odkryta ręka była sina, jakby przepełniona milionami maleńkich krwotoków. Potem chłopiec zniknął w ciemności wagonu numer dwa, z sennym spojrzeniem i milczącą wiarą, że po kolejnej kilkugodzinnej terapii na pewno poczuje się lepiej. Gdzieś obok odezwał się szept niedostrojonych skrzypiec – cichy i jednorodny, oblewał świat rumieńcem naiwnego dziewczęcego wstydu. Spuściłam wzrok.

Wzdłuż pociągu, w którym powoli dogasało piszczące, obrosnięte rdzą życie, szedł *risoluto*⁴ dyżurny, zapewne po raz kolejny tego dnia i setny tego roku odprawiając ten niezrozumiały rytuał, jakby dwudzieste stulecie nigdy się nie skończyło. Nie zwrócił na mnie uwagi; zresztą tak, jak na ponure, skancerowane mrozem betonowe płyty peronu. I w zemście za ignorancję jedna z nich, złamana jak kamienna pieczęć najgorszych instynktów, wyrosła z ziemi tuż przed wypastowanym lewym trzewikiem dyżurnego. W zagłębieniu tuż za płytą zebrało się zimne czerniejące błoto. Nie musiałam podnosić wzroku – poczułam na dżinsach wielkie grudy brudnego śniegu, gdy prawa stopa dyżurnego stanęła w kałuży, unosząc mężnie cały ciężar jego ciała – dynamicznie, jak w kozackim porywie dzikiej ekspresji. Błyskawicznie jednak dyżurny odebrał solo pastowanym butom, zaczynając melodyjne rondo zgranych idealnie wulgaryzmów, rzucanych ku płycie, kałuży, ku światu z pewnością, a może nawet ku samym trzewikom.

Kilka metrów dalej leżał nieprzytomnie pijany mężczyzna, od czasu do czasu bełkocząc coś głosem przebrzmiałym syczącą złością. Ktoś nieuważny przewrócił butem jego pustą już i tak butelkę, a ktoś inny przechodząc, obryzgał jego stare dżinsy ciemnym błotem; a on sam wtórował tej snobistycznej ignorancji kakofonią przekleństw, już nie tak subtelnych i zrozumiałych. Mógłby być dyżurnym, mógłby nawet wejść przypadkiem w tę samą kałużę – pomyślałam tą myślą pustą, pozbawioną choćby cienia emocji. Musiałby tylko włożyć koszulę zamiast zaplamionej wymiocinami ortalionowej bluzy... i wypastować dziurawe mokre trampki. Patrzyłam na niego, a dźwięk skrzypiec stawał się jakoś dziwnie bolesny. Zupełnie tak, jak skrzypienie ciężkich ołowianych drzwi albo płacz niemowlęcia w uszach matki po kolejnej nieprzespanej nocy. W ustach czułam ciepłą lepkość czekolady i uderzenia ciśnienia płynące z wnętrza żołądka. Ciszej, ciszej, pomyślałam, palce znów wbijając tuż poniżej żeber. Przymknęłam oczy, a wiatr uderzał coraz częściej *con tutta la forza*⁵ w daszki peronu i w nas wszystkich, którzy byliśmy częścią tej groteski.

4 (wł.) zdecydowanie

5 (wł.) z całej siły

W akompaniamencie przekleństw i walizek stukała wysokimi obcasami wyprostowana dwudziestolatka, narzucając rytm całemu jej światu. W plecionym berecie i krótkim płaszczku szukała wzrokiem wejścia z najmniejszą kolejką. Lecz widać było, że nie zależało jej ani na wejściu, ani na kolejce. Szczupłe nogi zdawały się chwiać pod naporem wiatru, a włosy, oblepione wilgocią, falowały, dając ten znienawidzony efekt niesfornego puchu. Mogłabym być nią, pomyślałam. Mogłabym, gdybym tylko potrafiła tak wyglądać, przecież mamy pewnie tyle samo lat. Przecież zmierzamy w tym samym kierunku. Była jednak taka rzecz, jeden niestrojny zgrzyt między moim rondem, a jej koncertem. Jej włosy były w nieładzie, bo chwilę wcześniej ktoś zanurzał w nie dłoń; moje natomiast były takie dlatego, że nie miał ich kto przytrzymać, kiedy rano klęczałam w toalecie akademika, trzymając palce w podrażnionym gardle.

Dyżurny powtarzał wciąż jednostajnie, że pociąg odjedzie za pięć minut. Jakby chciał wykrzyczeć całemu światu, że nienawidzi tych marcowych wieczorów, kiedy wszyscy wracają, a on musi być sam. Wiatr recytował smutną elegię, pozbawiając świat zupełnie muzykalności i gdyby nie te skrzypce, pomyślałabym, że zaraz zrobi się cicho. Spokojna nadzieja mieszała się w nas z niepokojącą falą dźwięków, jakby cały peron zanurzał się bez opamiętania w pierwszym koncercie Szostakowicza. Z oczu leciały mi łzy, a skurczone mięśnie pulsowały bezlitośnie, gdy pochylałam się nad niewielkim koszem, zwracając wszystko, co zjadłam tego wieczoru. Znowu. Mogłabym być nią, mogłabym być nawet dyżurnym. Ale dziś znów dostałam solo pijanego mężczyzny, kiedy zostawiałam na dworcu resztki samej siebie. Ciszej. Muzyka była naprawdę głośna, ostatni pasażerowie biegli do pociągu linii regularnych państwowych, a ja wytarłam twarz chusteczką znów postanawiając, że następnym razem nie zabrudzę wymiocinami swoich pastowanych trzewików.